

ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XII.

Warszawa, dnia 11 grudnia 1920 roku.

Nr 50.

ALFRED KONAR.

POWIEŚĆ.

22)

PIĄTE KOŁO.

Jest stanowczo powabniejszy, niż mu się samemu wydaje. A może właśnie ten wdzięk jego polega na tem nieuświadomieniu. Bo on nie wie, że nie jest wcale brzydkim ze swemi wielkimi oczami zranionej sarny, zdającej się pytać:

—Dlaczego chcieliście mnie za-
bić? Jedyne dla rozrywki. Prawda?

I ten dziwnie odbijający się od stałej melancholji jego oczu półuśmiesze cienkich ust, przypominających zagadkowość postaci Leonarda da Vinci.

— Jaka pani jest dobra — kom-
plimentował ją Pawełek — że się
tak skwapliwie w moje brednie wsłu-
chujesz.

— Wcale nie jestem dobra. Tyl-
ko to mnie interesuje.

— Właśnie! Interesuje panią dla-
tego, że pani jest dobrą.

— Pan nie rozumie tego — pro-
wokowała — że nie wszystkich
ludzi wspomnienia dziecięce obcho-
dzą mnie?

Zaczerwieniony Pawełek karcił
się w duszy, że ona, choć tak miła
i dobra jest mu o tyle dalszą od
mniej wartej moralnie Lilki jedynie
dlatego, że panna Lola jest mniej
piękną. Lecz jeszcze stokroć więk-
sze czynił sobie wymówki, że jest
z nią w nieporządku. Bo daje po-
wód opinii do konstataowania jego
starania się o jej rękę. Opinia nie-
kiedy uprzedza wypadki. A więc on
faktycznie pod sugestją Jurka i opi-
ni konkuruje o jej... posag?

— Biedna dziewczyna! — litował
się nad nią kochaną kobietą. —
Gotowa w dobrej wierze połączyć
swoje życie z najpospolitszym karje-
rowiczem! — zatrzęsł się z obrzy-
dzenia nad samym sobą. —

— Więc co robić? Przestać by-
wać? I zrywać z tak zacnymi lu-
dźmi bez powodu? Bo to może me-

galomanja z mojej strony ten do-
mysł, iż ona zdecydowała by się
na fakt, na który nigdy bym się nie
zdobył. Przenigdy. Bo niestety — nie
kocham jej.

Sam na sam przerwała im ma-
ma Wtorkowska, wystraszona, trzę-
sąca się, już bez żadnych blag wy-
szła z formy.

— Co się mamie stało?

— Ojciec, ojciec! — bełkotała z tru-
dem stara. — Ratujcie ojca! Weszłam
do jego pokoju... A on widocznie
nieprzytomny runął na podłogę...
Miał jakieś biurowe przykrości... Ja-
kieś listy z zagranicy...

Pobiegli do jego sypialni. Uło-
żyli go na łóżku, rozpięli koszulę,
cucili wodą kolońską, rozcierali zię-
bnące dłonie. Rozesłali służbę po
lekarzy.

— Duszę się! Powietrze! — jęknął
stary nieswoim głosem, rżąc, co-
raz bardziej, fioletowy, z twarzą co-
raz bardziej stygnącą, z oczami zu-
pełnie już nieswojami.

Lekarze stwierdzili od razu stan
beznadziejny, choć usiłowali karmić
zamierające piersi sztucznem wpro-
wadzeniem powietrza, choć rozgrze-
wali martwiejące nogi bańkami go-
rącej wody, i walczyli ze zbliżającą
się agonją jakimiś podniecającymi
środkami strofantu i zastrzykiwanej
kamfory. Pawełek pobiegł po księ-
dza. Telefonowano do krewnych i do
biura. Dokoła, jakby za poruszeniem
złej różdżki — cały dom przywdział
od razu inną szatę. W całym domu
w atmosferze lekarstw — wrzało już
od obojętnych szeptów nazbieranych
krewnych, od bieganiny służby i bia-
ło odzianych pielęgniarek.

W sąsiednim pokoju cucono od
spazmów panią Wtorkowską. Chory
przyjął już ostatnią komunję.

I naraz śród zdumienia otaczają-
cych dostrzeżono w oczach Wtorko-

wskiego, skierowanych z nieludzkim
wysiłkiem w stronę Pawelka jakiś
błysk samopoczucia. Umierający z
ostatnim wysiłkiem pochwylił za rękę
Pawelka i wykrztusił najwyraźniej:

— Pamiętaj, ty jeden — prze-
chylił się całym ciężarem głowy w
bok, ręce mu zwisły; wyprężył się;
twarz mu skostniała, oczy zapadły,
usta się otwarły... nie żył.

Pawełek nie wychodził już teraz
z ich domu. Nie miały nikogo prócz
niego. Ze swoją wrażliwością od-
czuł tę śmierć prawie na równi z
niemi. Nie solidaryzował ze zbyt
histerycznymi wybuchami starej Wtor-
kowskiej, rozpaczającej w swoim
tchórzliwym egoizmie na jedyną nu-
tę: co ona uczyni teraz sama jedna
bez jedynego człowieka na świecie,
który prawdziwie ją kochał. Dzia-
łały mu na nerwy te ustawiczne jej
omdlewania i spazmy, bardziej szcze-
re, niż sama przypuszczała.

Najbardziej jednak wzruszał Pa-
welka (aż do wysiłku powstrzymy-
wania łechcących mu gardło łez)
widok panny Loli, znoszącej ten hio-
bowy niespodziewany cios z męską
godnością bez zdżbła ekshibicjonizmu
i hysterji.

Uwita w czarne krepy stała się
prawie ładną ze swoją bladeścią twa-
rzy i z tym królewskim tragizmem,
który bił z jej spojrzeń, z mowy i z
ruchów całej postaci.

Lecz tę majestatyczną grozę, ja-
ka zwała się na ich dom miał po-
większyć jeszcze nowy zupełnie nie-
oczekiwany epilog: Oto nazajutrz
po pogrzebie przekonano się, że nie-
boszczyk nie pozostawił żadnego te-
stamentu. A przy sprawdzaniu praw
spadkowych i sporządzaniu działów
familijnych stwierdzono na zasadzie
pozostałych bilansów, depozytów,
aktów rejentałnych i weksli, credi-
tów i debity, że nieboszczyk utra-
cił prawie cały majątek na spe-
kulacjach giełdowych i na jakichś
awanturniczych projektach amery-
kańskich.

Teraz już i pani Wtorkowska
przestała spazmować. Sytuacja obu

osamotnionych kobiet, skąpanych w zbytku, a rzuconych za jednym zamachem okrutnego losu na bruk — stała się faktycznie tragiczną. Tragedja możliwa dla dziewięciu dziesiątych rodzin w naszym kraju, żyjących bez myśli o jutrze. Niespodziewany grom Wtorkowskich, Szalowskich, Szylertów i t. d. I stara królowa wdowa bardzo patetycznie z wielką godnością zwróciła się do Pawelka:

— Jakaś klątwa losu nad nami zawisła. Wszystkie dawne nasze projekty zniweczone. Teraz nie mamy już prawa zawieszać się komukolwiek u szyi. Córce mojej pozostała jedynie dobra opinia, której nie wolno narażać, nawet za cenę tego współczucia, jakie pan nam teraz okazuje. A pan wie, co to jest opinia: złośliwe insynuacje na zasadzie pozorów prawdopodobieństwa. Kłamliwe oszczerstwa, rozsiewane przez stugębną plotkę, na którą poniewczasie rady już niema. Trudno, jesteśmy skazane na zagładę, a kto się do nas zbliży — zginie. Zwalniamy pana ze wszelkich obalonych marzeń pańskich i naszych.

— Moje zamiary matrymonjalne — wyrwał się naraz Pawełek w niespodziewanej dla samego siebie nagłej decyzji swojej uczciwej natury — zrodziły się dopiero w zupełnie ostatnich czasach i nie mają nic wspólnego za zmianami losu, jakie zaszły w życiu pań. Pokochałem córkę pani — kończył swoje szczere oświadczenie już w obecności panny Loli, która weszła do pokoju — nie, *pomimo* straty jej majątku, lecz może właśnie *dlatego*, że jest niebogata.

Panna Lola wybuchła pierwszymi łzami od czasu śmierci ojca. Nigdy w życiu nie śniła, aby ktoś mógł zaślubić ją nie dla jej posagu, lecz dla jej osoby, choćby tym skromnym kandydatem miał się okazać człowiek, którego w gruncie nie kochała.

Wyznaczono dzień ślubu, który miał się odbyć za trzy miesiące.

Pawełek nigdy jeszcze nie pracował się tak, jak w ciągu tych konkurów. Poza męką zawodowych firmowych kłopotów — musiał jeszcze przygotowywać mieszkanie w fabrycznej willi, dotąd nie zupełnie wykończonej; regulował też uciążliwe i zawile interesy po zmarłym teściu: układał się z wierzycielami, biegał po rejentach i z całej wielkiej fortuny nieboszczyka zdołał *mysondować* dla sukcesorów dziesiątą część dawnego majątku, wynoszącą około czterdziestu tysięcy rubli.

Z przynależnej sobie połowy tego spadku wdowa Wtorkowska tak długo kwitowała — zrezygnowana umrzeć pod płotem (bo roczne procenty i tak na najskromniejsze utrzymanie nie wystarczą), aż Pawełek z niezwykłą sobie brutalnością zmusił ją, aby przyjęła wszystko co do grosza; bo on posagu się zrzeka.

Pani Wtorkowska, zadecydowawszy osłabionym głosem, że Pawełek w swoim despotyzmie przypomina zupełnie nieboszczyka — musiała ulec tej przemocy — jako patentowana dożywotnie ofiara przemocy męzczyzn.

Wynajęła dla siebie bardzo ładne mieszkanie, do którego „dzieci ją zmusiły” bo podług jej elegijnego wyrażenia „dla niej i tak wszystko się skończyło i każda nora wystarczała.” I, choć bronila się też z całych sił — *musiała* sobie zostawić wszystkie najpiękniejsze meble z całego dawnego urzędnika.

— Po co mi tyle gratów? — biadała przed wszystkimi.

— Ale dzieci chciały się ich pozbyć, bo im się nie podobały. Dla mnie te meble, czy inne wszystko jedno. Chodziło mi jedynie o spokój, aby nie uchodzić za przysłowiową teściową. Dlatego ustąpiłam. Lecz w gruncie kilka rodzinnych pamiątek wystarczałoby mi w zupełności.

Zresztą nie miała teraz sił do sprzeczek — zajęta sprawami urzędnika młodej pary, a dopiero później własną wyprawką do swego wdowiego zakątka.

Zanurzonemu po szyję w kłopotach narzeczonemu strzeliła tylko raz jakaś naga myśl do zbolałej głowy wśród porównywań nowej fotografii swojej przyszłej żony z podobizną pięknej Lilki:

— A jednak wyroku losów zmienić nie można. Jurkowi przyznana była widać przez Opatrzność rola głównego bohatera. A mojem przeznaczeniem były zawsze brzydkie, ubogie kuzynki bohaterek.

I jakaś ciężka fala cynizmu, którego miazmaty muszą wsiąkać w ludzi najczystszych — uderzyła o tajemniczą komórkę mózgu Pawelka szyderstwem piosenki przyjaciela:

— No, przynajmniej mój wspólnik Jurek Dupond nie zechce korzystać z należnego mu udziału miłości pani Dufond. A ja? — roześmiał się smutnie. — He, he! Niema obawy, aby pani Dupond się zgodziła.

Od Jurka nadszedł wreszcie przed samym ślubem Pawelka list, donoszący, iż — transakcja z kupnem maszyn w Londynie — niestety — nie doszła do skutku, ponieważ ca-

ła licytacja była jedynie bluffem wobec wierzycieli. A przy starych maszynach utrzymali się podstawieni krewni dawnych właścicieli. W liście tym Jurek jak zwykle naglił jednocześnie o przysłanie mu pieniędzy — tem bardziej teraz natarczywy, iż wiedział już o tak niefortunnym materjalnie epilogu konkurów Pawelka.

I Jurek, zmuszony obwiniać o ten „głupi” mariaż jedynie swoje własne sugestjonowanie przyjaciela, który „wpadł w pułapkę” — zapowiadał swój przyjazd do Warszawy dopiero po ślubie Pawelka. Uroczystość naznaczona przez panią Wtorkowską z ogromnym pośpiechem wskutek żałoby jedynie w gronie dziesięciu osób z najściślejszej rodziny zebranych, przed południem.

Depesza, informująca o tym fakcie doszła do Jurka w Wiedniu, gdzie w hotelu bawił w przejeździe do Warszawy.

— Idjota! Ładnie się urządził! — zadecydował, układając sobie wąsy pod bindą.

Na jego kolanach, tuląc się do jego piersi pani Lilka, śliczna w swoim jedwabnym gorsecie, w koronkach z różowymi wstążeczkami — wonna od ранnego zapachu swego perłowego młodego ciała i złotych włosów — litowała się nad pokrzywdzonym pozostawionym bez ich opieki w Warszawie. Miała uczucie, że ona sama jest dozgonną żoną tego biednego Pawelka, którego teraz zdradza w eskapadzie wiedeńskiej z kochankiem:

— Biedaczysko! A gdybyś ty, Jurasku wiedział, jaka Lola jest, brzydka w negliżu! Brz...

— No! Wyobrażam sobie! — roześmiał się Jurek.

IX.

Wiele wody upłynęło od czasu żeniączki Pawelka i Jurka. Życie ich toczyło się już utartym korytem, raz pogodnie, wartko — to znów złobiąc z szumem kamienie, rozwalając z wysiłkiem przeszkody z automatycznym uporem nakręconego zegarka, nie pytającego kto go nakręcił i po co chodzi i bije.

Rzecz prosta, że państwo Dupond i państwo Dufond z bulwarowej piosenki żyli ze sobą w większej zgodzie, niż Jurkowie z Pawelkami. Samo przez się rozumie, iż któż mógł być powodem tych wszystkich niesnasków? Naturalnie coraz bardziej wrogie dla siebie pani Jurkowa i pani Pawłkowa. A mężczyźni, jak zwykle w takich sprawach bardzo pobłażliwi, politykowali, unikając stąpania sobie po piętach i łagodząc o ile można zaognienia.

Dalszy ciąg nastąpi.

Tajemnica Rodu Koenigsmarków.

29)

Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Wówczas na prawo, z trzaskiem rozdieranego metalowego płótna rozpoczęła się strzelanina. To 22-ga kompanja, stosownie do otrzymanych wskazówek ostrzeliwała dowolnie przeciwległy okop nieprzyjacielski, aby nie dopuścić Niemców do dania pomocy zaatakowanym towarzyszom.

Teraz cała linja nieprzyjacielska odpowiadała z pomyślnem dla nas zdenerwowaniem. Kule ich źle kierowane przechodziły bardzo wysoko ponad naszymi głowami. Czasem tylko strącona gałązka padała obok nas jak listek topoli. Ci, co bili się w lasach znają to wrażenie.

Suchy ów trzask trwał od pięciu minut gdy olbrzymi płomień strzelił do nieba od prawej strony, obryzgując wszystkie przeciwległe wzgórza, poczem zgasł w ulewie szczątków, a jednocześnie dał się słyszeć potężny, głuchy huk.

— Powiodło się — szepnąłem Vignerte'owi — Była tam jednak mina w tych zaroślach. Udało im się wysadzić ją.

Strzelanina na naszym froncie trwała w najlepszej. Poczem nagle wszystko umilkło. Ponad naszymi linjami wzniosła się raca.

Raca ta dawała znać artylerji, że 22-ga kompanja wróciła bez przeszkody do okopów i że teraz na nią kolej. Jakoż natychmiast rozpoczęła się kanonada.

Z tyłu po za nami słyhać było te niewidzialne potwory jak nadlatywały, zakreślając nad naszymi głowami swe śmiertcionośne parabole. Szum rosnący coraz potężniej, a przytem tak powolny, tak powolny, że poprostu trudno pojąć, jak można nie dostrzedz tych ptaków, które sprawiają tyle hałasu.

A potem ich przylot na okopy nieprzyjacielskie, płomień błękitny i czerwony. Kurzawa, żółty słup szczątków unoszący się w górę poczem przerażający huk wybuchu.

Vignerte i ja śledziliśmy przez lornetki skutki kanonady.

Nagle usłyszałem, że mnie wołają.

Był to nasz żołnierz z kontaktu przy dowódcy bataljonu, Przyleciał cały zadyszany.

— Panie poruczniku! panie poruczniku!

— Cóż tam takiego?

— Dowódzca bataljonu! wzywa pana natychmiast do siebie.

— Idę — rzekłem do Vignerte'a — A cóż tam nowego? — zapytałem żołnierza — Nie wiesz czy wypad 22-giej kompanji powiodł się?

— Doskonale, panie poruczniku. Stracili tylko dwóch ludzi. Wysadzili minę, rozpędzili okop i wzięli około czterdziestu jeńców. Spisali się gracko. Ale niech pan porucznik już idzie. Komendantowi pilno.

Poszedłem tedy szybko. Dość wygodna dróżka prowadziła do komendantury, położonej o kilka set metrów w tyle. Jedno tylko przejście, rodzaj pochyłości wału nie był ubezpieczony; przeszedłem go jednak nie przyspieszając kroku, bo w tej chwili linja niemiecka, milcząca pod naszym bombardowaniem nie przedstawiała żadnego niebezpieczeństwa.

Komendant oczekiwał mnie na progu swojej lepianki.

— Ach! jesteś pan. Przepraszam, że pana trudziłem. Ale powodzenie 22-ej kompanji jest tego powodem.

— Czem mogę służyć, panie komendancie?

— Rzecz się tak ma. Pan jesteś agregatem niemieckiego języka, ja zaś od czasów Saint-Cyra, nie miałem do czynienia z tą przekłętą mową. Mamy tu jakiegoś znaczniejszego jeńca. Naprawdę próbowałem go wybadać. Ani sposobu wydobyć z niego słowa. A jednak mógłby nam dostarczyć cennych wskazówek. On to kierował tym podkopem, któryśmy zburzyli. Coste, który go pojmał, zostanie z pewnością kapitanem.

— Wyższy oficer, nie mówiący po francusku, — rzekłem — to dziwne! Wiadomo panu komendantowi, że wielu z nich udaje, że nie umie.

— Wiem o tem, i dlatego wzywam pana. Nie będzie mógł udawać, że nie rozumie doskonale niemieczyny, w jakiej go pan zainterpelujesz. A oto nasz obywatel.

Wszedłem do lepianki komendanta, gdzie znajdował się dowódca niemiecki pod strażą dwóch żołnierzy z 22-ej kompanji. Duma ich

z tego powodu była tak wielką, że nie mogli się powstrzymać od przechwalania się szczegółami:

— Wystrzałem z rewolweru położył biednego Labourdette'a. Ale myśmy wpadli na niego z porucznikiem Coste'm.

Jeniec był to mężczyzna może czterdziestoletni, o chłodnych, niebieskich oczach, twarzy surowej i inteligentnej. Zaledwie raczył odpowiedzieć na ukłon jakim go, wchodząc powitałem.

Zadałem mu bezskutecznie kilka pytań.

— Panie — przemówił wreszcie jak najpoprawniejszą francuszczyzną — Na co się przyda to badanie. Mogę panu powiedzieć tylko rzeczy bez znaczenia jak moje nazwisko, które pana nic nie obchodzi. Co się tyczy wskazówek militarnych, jestem oficerem, — pan również. Gdybyś pan był na mojem miejscu nic byś nie powiedział, nieprawdaż? Pozwól, że postąpię tak samo.

I zamknął się w najpogardliwszem milczeniu.

— Nic z niego nie wydobędziemy — rzekłem do komendanta — Czy nie miał przy sobie jakich papierów, gdy go wzięto?

— Żadnych — odpowiedział komendant żałośnie.

— Nic żeście nie znaleźli? — rzekłem do żołnierzy.

— Nic panie poruczniku, prócz tego — odpowiedział jeden z nich, wyjmując z płaszcza zmięty papier — Ale to całkiem podarte i niewiele tam tego.

— Daj w każdym razie — rzekłem.

Kawałek papieru, jaki mi podał, był to pisany ołówkiem nawpół zamazany bruljon jakiegoś listu. Ale zaledwie rzuciłem nań okiem, wstrząsnąłem się jak pod działaniem prądu elektrycznego.

Jeniec spoglądał na mnie drwiąco.

— Wiem teraz nazwisko pańskie — rzekłem.

— To mnie mocno dziwi — odparł zuchwale — bo papier, który pan masz w ręku nie jest podpisany, a pan nie jesteś czarownikiem.

— Nędzniku! — zawołałem z wybuchem — nazywasz się Urych de Boose i jesteś mordercą Wielkiego Księcia Rudolfa de Lautenbourg-Detmold.

Śmiertelna bladość powlokła twarz jeńca. Ręce mu zeszytywniały. Zdo-

był się jednak na wysilek i rzekł drżącym głosem:

— Panie komendancie, protestuję przeciwko takiemu postępowaniu ze mną. Nie dopuść pan, żeby pański porucznik znieważał wziętego do niewoli. To niegodne.

— Daj mi pan święty spokój! — wrzasnął komendant — Ale, do licha, poruczniku, co to wszystko znaczy? Co zawiera ten papier?

Odyskałem już potrosze zimną krew.

— Przebac mi pan, panie komendancie — wyszeptałem — Nie czuję się na siłach, żeby to panu wytłumaczyć. Ale zechciej pan posłać natychmiast po porucznika Vignerte'a. On wie kto jest ten człowiek. On panu wszystko powie.

— Niech i tak będzie — mruknął komendant — To dopiero historia!

I wydał rozkaz.

Na dźwięk nazwiska Vignerte'a Niemiec pobladł jeszcze bardziej. Spoglądał na mnie z wściekłością, i gdyby dwaj żołnierze nie byli go silnie trzymali, byłby się rzucił na mnie, by mi wydrzeć pnpier, który teraz odczytywałem z większym spokojem, po raz drugi. Oto co zawierał:

„Po raz ostatni powtarzam Waszej Wysokości co następuje: Aż nadto dobrze znam sposób postępowania Waszej Wysokości z innemi, aby nie odgadnąć, że i ja mam paść jego ofiarą. Zgodziłem się pojechać na wojnę. Ale wojna się przedłuży. Codziennie narażam się na to, że mogę wcale nie wrócić. To zapewne jest życzeniem Waszej Wysokości. Po Wielkim Księciu, Wielką Księżną, po Wielkiej Księżnie ja, nieprawdaż? A wtedy już będzie spokój. Nie jestem tak głupi. Jeżeli od dziś za dwa tygodnie nie będę od-

wołanym na tyły i przydzielonym do jakiego sztabu z awansem, jakiego mam prawo oczekiwać po moich zasługach, oznajmiam, że szczegółowy opis wszystkiego będzie ogłoszonym przez moich przyjaciół w tyłu dziennikach neutralnych lub nieprzyjacielskich ile potrzeba i rozesłanym wszystkim osobom, których Wasza Wysokość może się lękać, ku ich zbudowaniu. A mogę zapewnić, iż dadzą im wiarę, gdyż dokumenty te będą poparte próbką pisma bardzo dobrze znanego Waszej Wysokości...”

Ostatnie to zdanie skreślone było pismem zupełnie różnem od reszty listu. Tamto było energiczne i bujne, to cienie i subtelne. Oba te pisma miałem przed oczami dzisiejszej nocy. Jedno było pismem listów Wielkiego Księcia Rudolfa z Kamerunu, drugie planem podróży znalezione w *Mittheilungenach*.

Wszystko było teraz jasne; straszliwie jasne.

— Vignerte dowie się nareszcie — pomyślałem z radością.

I nagle lodowaty pot uperlił mi czoło: dowie się, ale za jaką cenę! Wielka Księżna. Nieszczęsny! nie pomyślałem, że i ona także...

— Nie trzeba... nie trzeba... — szepnąłem.

Za późno.

— Otóż i porucznik — rzekł komendant, stojący na progu lepianki i bacznie śledzący horyzont.

Stało się. Zło nie do naprawienia miało się spełnić!

Dzień wstawała błękitem i różowością nasycając okolicę. Na ogłoconym z liści krzaku zakwiliła zięba.

Teraz i ja z kolei zobaczyłem Vignerte'a. Szedł nie śpiesząc się po skłonie wąwozu. Widziałem jego smukłą, wysoką postać i ślicznie zarysowaną ciemną głowę.

— O! Boże! — zawołałem.

— A tam co znowu — rzekł komendant — Czyś pan zupełnie zwarjował?

Teraz Vignerte był już o sto metrów zaledwie od nas. Zobaczyłem, że przyspiesza trochę kroku, by przebyć nie ubezpieczony skłon, dzielący go jeszcze od schroniska komendanta.

Wówczas w głębi opalowego horyzontu dał się słyszeć straszliwy szum i rósł sapiąc. Niewidzialna masa posuwała się po białawem niebie z tupotem pociągu wchodzącego na stację. Rosło to, rosło, rosło, i zrozumieliśmy, że na nas zwali się ta djabelska parabola.

Żołnierze, niby żabki wskakiwali na wszystkie strony do swoich nor.

Vignerte zostawszy pośrodku nagiego skłonu, przystanął. Widocznie wahał się: iść dalej, czy wracać?

Niewidzialny pocisk zbliżał się warcząc jak grzmot.

— Vignerte! — krzyknąłem rozpaczliwie — Połóż się! Na miłość boską połóż się!

Ujrzałem go jeszcze przez chwilę. Nieruchomy, wyprostowany, z uśmiechem upojenia na ustach spoglądał na wstającą jutrzeńkę, imienniczkę jego ubóstwianę*).

Wtedy nastąpił wybuch.

Grad kamieni i ołowiu posypał się na dach lepianki, do wnętrza której komendant wciągnął mnie ze sobą. Gdy ta złowroga ulewa ustała wyjrzelśmy oczyma rozszerzonymi z przerażenia.

Na skłonie wąwozu czerniała teraz ogromna wyrwa, a na jej lewej krawędzi widać było jakieś błękitne i czerwone strzępki.

Tak zginął 31-go Października 1914-go roku, porucznik Vignerte, przeto, iż pokochał Wielką Księżną Aurorę de Lautenbourg-Detmold.

KONIEC.

Jutrzeńka po łacinie *Aurora* (przyp. tłumacza).

